

Pasażerski samolot unosił się bezwładnie w powietrzu, zawieszony na nieboskłonie niczym wielki ptak z rozpostartymi skrzydłami, ślizgający się na wznoszących prądach powietrznych. Maszyna sunęła jednak dzięki potężnym silnikom odrzutowym, które na błękitnie nieba pozostawiały za sobą charakterystyczną, śnieżnobiałą smugę. Samolot wystartował z najważniejszego niegdyś moskiewskiego lotniska Szeremietiewo i przedzierając się przez Białoruś, kierował się na warszawskie Okęcie.

W środku potrójne rzędy siedzeń rozdzielone wąskim przejściem rodem z autokarów wypełniały głowy pasażerów leniwie wyczekujących lądowania. Gdzieś tam takiej głowy brakowało, co sprawiało wrażenie braków w symetrycznej układance, jaką z góry przypominało wnętrze maszyny. Pasażerowie zajęci byli najrozmaitszymi czynnościami, byle tylko umilić sobie czas podróży. Właśnie dlatego niektóre głowy zatopione były w lekturze, inne ozdobione w większe lub mniejsze słuchawki spoglądały w wyświetlacze swoich komputerów i telefonów, a jeszcze inne bezwładnie opadały na zagłówki, beztrósco przysypiając. Wokół panował spokój, a martwą wręcz ciszę przerywały jedynie rozmowy kilku osób prowadzone w języku rosyjskim i polskim. Monotonię przerwał nagle przyjazny głos jednej ze stewardes, płynący z pokładowych głośników:

Drodzy pasażerowie. Za kilkanaście minut wylądujemy na lotnisku imienia Fryderyka Chopina w Warszawie. Proszę państwa o zajęcie swoich miejsc i zapięcie pasów bezpieczeństwa. W Warszawie mamy bardzo dobre warunki do lądowania. Towarzyszy nam bezchmurne niebo, bardzo dobra przejrzystość powietrza, a temperatura wynosi 25 stopni Celsjusza. Lądowanie odbędzie się zgodnie z planem. Proszę zająć miejsca i stosować się do poleceń obsługi. Dziękuję za uwagę.

Mimo że pierwsze lądowanie odbywało się w Polsce, kobiecy głos powtórzył wypowiedzianą frazę w języku rosyjskim i angielskim, zupełnie pomijając język polski. Mogło to świadczyć o pewnym napięciu, jakie od niedawna zapanowało pomiędzy tymi dwoma krajami i wyrwało jednego z pasażerów z głębokiej zadumy. Rozejrzał się badawczo po samolocie i wyrwał przez okno. Z góry nie było widać jeszcze żadnych zarysów Warszawy. Chwilę jeszcze pomyślał, gładząc się dłonią po starannie wygolonym rano podbródku z charakterystycznym podłużnym dołkiem pośrodku.

— Bardzo pana proszę o zapięcie pasów! — usłyszał miły, lecz stanowczy głos stewardessy, która położyła delikatnie rękę na jego ramieniu.

Spojrzał najpierw na drobną dłoń ozdobioną pomalowanymi na pastelowy róż paznokciami, a później przerzucił swój wzrok na jej twarz. Uśmiechnięta blondynka z wypomadkowanymi na intensywny czerwony kolor ustami cierpliwie czekała, aż zastosuje się do jej polecenia.

— Ależ oczywiście! Przepraszam! — Złapał za pas wystający z siedzenia i z głośnym kliknięciem zapiął go.

— Dziękuję — kobieta obdarzyła go jeszcze szerszym, wręcz zalotnym uśmiechem, po czym ruszyła dalej, wyszukując podobnych jemu gapowiczów.

Odprowadził ją wzrokiem skupionym na całym tyle jej zgrabnej figury.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do czwartej. Szybko odjął dwie godziny wynikające z różnicy czasu pomiędzy dwoma stolicami i tak wyszło mu ledwie półtorej godziny po południu. Ustawił aktualny czas. Rozejrzał się po pokładzie samolotu. Ludzie zawieszeni wcześniej w monotonii teraz wyraźnie ożywili się. Narastał szmer.

Po kilku minutach maszyna zaczęła schodzić delikatnie w dół, a w oknie ukazały się zarysy Warszawy. Kolejnych kilka minut zajęło kołowanie nad miastem i wreszcie nastąpiło podejście do lądowania. Jakaś kobieta siedząca obok niego mocniej wbiła się w fotel i chwyciła nerwowo za oparcie, jakby miało to czemuś pomóc. On siedział spokojnie. Latanie było nieodłącznym elementem jego pracy, dlatego nie robiło to już na nim żadnego wrażenia. Spokojnie wpatrywał się w powiększające się zabudowania lotniska. Wkrótce z piskiem i lekkim szarpnięciem maszyna osiadła na asfaltowym pasie startowym. Spojrzał na zegarek. Wylądowali punktualnie.

Krytym pomostem, nazywanym fachowo „rękawem”, przedostali się z samolotu do terminalu i od razu trafili do hali przylotów, gdzie oczekiwała już na nich straż graniczna. Na widok oliwkowo-zielonego munduru zrobiło mu się trochę nieswojo, jednak ukrył to uczucie gdzieś głęboko w sobie. Do kontroli ustawił się długi sznur pasażerów, którzy z niecierpliwością oczekiwali przebrnięcia przez tę najmniej przyjemną czynność na lotniskach. On stanął gdzieś w środku łańcuszka.

— Czy ktoś spoza grupy obywateli polskich posiada wizę dyplomatyczną lub służbową? — zapytał głośno jeden ze strażników.

W szemrzącym tłumie zapanowała w jednej chwili grobowa cisza. Nikt nie odważył się odezwać. Obejrzał się jeszcze za siebie, po czym wyszedł z szeregu i rzucił krótkie „tak”.

— Zapraszam pana... — odparł strażnik stanowczym głosem, nie podlegającym dyskusji.

Ruszył niepewnie w jego kierunku, trzymając mocno ściśniętą w dłoni niewielką walizkę. Czuł na sobie wodzący wzrok pozostałych pasażerów. Cisza była tak wymowna, że słychać było stukot obcasów jego butów o granitową posadzkę terminala.

— Proszę... — strażnik ruchem ręki wskazał na niewielkie, na wpół oszklone pomieszczenie, z którego wcześniej wyszedł. — Zapraszam do środka!

Wszedł do niewielkiego pokoiku, w którym znajdował się prosty stół i kilka niebieskich krzesełek z tworzywa sztucznego. Ściany przyozdobione były zdjęciami lotniska oraz różnego typu instrukcjami w kilku językach. Strażnik wskazał ręką, by usiadł na jednym z krzesełek, a sam zajął miejsce za stołem.

— Proszę przygotować swój paszport i wizę.

Zapytany z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął i wyłożył na blat małą, bordową książeczkę ze złotym dwugłowym orłem i napisem „*Rossijskaja Federacija*” oraz podobnych rozmiarów wizę. Strażnik zabrał się za dokładne sprawdzanie dokumentów.

— Oleg Siergiejewicz Trusow... — wyczytał z paszportu i spojrzał mu badawczo prosto w twarz.

Ten nie zmieszał się i odparł najspokojniej w świecie:

— Zgadza się.

— Posiada pan wizę służbową...

— Tak.

— Jaki jest cel pana przyjazdu?

— Sprawy biznesowe. Będę negocjował umowę handlową z jedną z polskich firm.

— Jaka?

Rosjanin chwilę się zawahał.

— Sprawa, póki co, nie jest upubliczniana zarówno przez stronę rosyjską, jak i polską. W świetle obecnych napięć politycznych rozgłos może jedynie zaszkodzić naszym rozmowom. Poza tym obowiązuje mnie tajemnica handlowa, a wydaje mi się, że nie ma to związku z kwestią wpuszczenia mnie na terytorium Polski.

— Ma pan rację. Tak tylko pytam... — mundurowy nie dał się zbić z tropu, ale odpuścił swój podejrzliwy ton. — Sprawdźmy jeszcze, czy nie jest pan na liście osób objętych zakazem wjazdu do Unii Europejskiej. Chwilę to potrwa. Proszę tymczasem przygotować swój bagaż do kontroli oraz ewentualne rzeczy podlegające oczeniu.

Plutonowy straży granicznej wstał i wyszedł z pokoju. Rosjanin kątem oka zauważył, że przy drzwiach stanął jego kolega. Rosyjscy oficjale w ostatnich czasach byli traktowani w Polsce dość chłodno. I odwrotnie. Uśmiechnął się drwiąco pod nosem i zabrał się za wypakowywanie swojego niewielkiego bagażu pod czujnym okiem pilnującego go mundurowego. Po chwili wrócił ten, który go legitymował i rzucił krótkie:

— Wszystko w porządku. Pana nazwisko nie widnieje na liście objętej zakazem wjazdu do UE.

Oddał mu dokumenty i omiół wzrokiem rzeczy osobiste wyłożone na stolik z niewielkiej walizki.

— To wszystko, czy ma pan jeszcze jakiś bagaż?

— To wszystko. Tylko bagaż podręczny.

— Coś do oclenia?

— Nie.

— Wszystko zatem wygląda w porządku. Informuję pana, że wiza służbowa B-1 upoważnia pana do trzymiesięcznego pobytu w Polsce, który można przedłużyć o kolejne trzy miesiące.

— Zgadza się. Nie planuję jednak pobytu dłuższego niż trzymiesięczny.

— Swoją drogą, muszę przyznać, że bardzo dobrze pan mówi po polsku... — zagadnął już mniej oficjalnym głosem strażnik.

— Dlatego tutaj jestem — wymijająco odpowiedział Oleg Trusow, pakując swoje rzeczy do walizki. — Czy jestem już wolny?

— Tak, oczywiście. Życzymy miłego pobytu... i owocnych rozmów biznesowych.

— Dziękuję. Do widzenia.

— Do widzenia — odparł grzecznie strażnik i odprowadził go wzrokiem.

Trusow wyszedł wolno z pokoiku i ruszył w kierunku, gdzie przechodzili pozostali pasażerowie jego lotu. Gdy opuścił miejsce kontroli pasażerów, musiał przeciskać się przez grono osób niecierpliwie wyczekujących gości lotu Moskwa-Warszawa. Wysoki terminal przypominał wewnątrz mrowisko. Setki ludzi krzątało się w różnych kierunkach, przenosząc torby lub ciągnąc za sobą różnej wielkości walizki na przytwierdzonych do nich maleńkich kółkach. Ze stonowaną szarością i powagą kontrastowały tu kolorowe wystawy i neony sklepików, kawiarni oraz punktów prasowych, przypominające jarmark. Podeszedł do jednego z nich i kupił kilka gazet. Trzymany w kieszeni spodni telefon komórkowy zabrzączał, powiadamiając go o otrzymaniu wiadomości.

Wyjął aparat i odblokował zaciemniony wyświetlacz. Dotknięciem opuszka palca kliknął w informację „1 nowa wiadomość”. Jego oczom ukazało się zdjęcie twarzy mężczyzny w wieku 30-40 lat, z lekkim zarostem i przystrzyżonymi elegancko włosami ciemnego koloru. Poniżej widniał podpis: *Jakub Prachał*. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami był to człowiek, który miał na niego czekać na lotnisku. Nie znali się i nigdy nie widzieli, dlatego tuż po przylocie mieli wymienić się zdjęciami. Trusow rozejrzał się za łazienką i ruszył żwawo w jej kierunku. Tam, przed lustrem, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki przyciemniane okulary i założył je sobie na nos. Pogładził się po brodzie w poszukiwaniu choćby najmniejszego włoska. Tak. To było jego zboczenie. Staranne golenie rozpoczynało każdy jego dzień. Poprawił włosy, przyłożył aparat do twarzy i pstryknął zdjęcie. Podpisał je swoim imieniem i nazwiskiem, po czym odesłał na numer nadawcy otrzymanej wiadomości. Po kilkunastu sekundach nadeszła odpowiedź: „Czekam przed budynkiem”.

Wyszedł spokojnie z łazienki i ruszył w stronę wyjścia z terminala. Ruch ludzi jakby nasilał się. Ktoś trącił go w ramię, rzucając szybkie „przepraszam”. Inny człowiek zaczepił go, proponując taksówkę. Grzecznie odmówił. Wreszcie udało mu się dotrzeć do podwójnych, otwierających się na czujnik ruchu szklanych drzwi, przez które wydostał się z ludzkiego mrowiska. Błyskawicznie uderzyła w niego fala lipcowego ciepła, a on momentalnie zatęsknił za klimatyzowanym terminalem. Rozejrzał się w poszukiwaniu mężczyzny ze zdjęcia. Zadanie wyglądało na trudne. Poruszające się szybko i chaotycznie osoby przypominały dziesiątki dziecięcych zabawek nakręcanych kluczykiem wystającym z pleców i puszczonej w jednym momencie.

Zszedł po marmurowych schodkach, uważnie wypatrując Jakuba Prachała. Chciał uniknąć rozmowy telefonicznej, jednak zapowiadało się, że będzie to nieuniknione.

— Dzień Dobry! — usłyszał nagle gdzieś za plecami.

Zupełnie zaskoczony obrócił się błyskawicznie. Mężczyzna ze zdjęcia stał tuż za nim.

— Dzień Dobry... Zaskoczył mnie pan — pierwszy podał rękę. — Właśnie pana szukałem.

— Jakub — odwzajemnił uścisk i uśmiech mężczyzna.

Twarz, którą wcześniej przestudiował na zdjęciu, osadzona była na pełnym, lecz nie grubym tułowiu. Ubrany w lekko za duży garnitur wyglądał dość postawnie i jednocześnie nie pasował do lejącego się z nieba żaru.

— Oleg.

— Zejdźmy z tego upału! — zaproponował Polak. — Lato w tym roku jest uprzykrzająco upalne.

— Strój masz raczej nie na tę pogodę — zauważył Trusow, po czym spojrzął po sobie. — Cóż, ja chyba też.

— Wracam z sądu. Miałem rozprawę... Jestem adwokatem — wyjaśnił po chwili, widząc wielkie zdziwienie wymalowane na twarzy gościa.

Odetchnął ciężko gorącym powietrzem i przetarł krople potu występujące na czoło. W milczeniu wskazał ręką kierunek marszu i ruszył za gościem. Po chwili dotarli do czarnego, luksusowego BMW zaparkowanego na parkingu przy terminalu. Przyciśnięciem pilota otworzyła się tylna klapa bagażnika, w którym szybko znalazł się bagaż Rosjanina, po czym obaj szybko schowali się do wnętrza klimatyzowanego auta.

Adwokat obrzucił poważnym spojrzeniem gościa z Moskwy i rzucił ceremonialnym głosem:

— Potrzebuję jeszcze pełnej weryfikacji.

— Oczywiście — Rosjanin wyjął z kieszeni marynarki dokumenty i zdjął okulary.

Polak przestudiował je dokładnie i kolejny raz spojrzął przenikliwie w oczy Trusowa. Chwilę obaj starali się wyczytać ze swoich źrenic to, co nie zostało jeszcze powiedziane.

— Gdzie dają najlepsze piwo w Moskwie? — Prachał zaskoczył nietypowym zapytaniem.

— Najlepszy *Biały Niedźwiedź* jest u Gogoła, w Zaułku Stoleszników — wyrecytował prawidłowe hasło Trusow, po czym dodał, widząc lekko pobudzonego Prachała: — Mam jeszcze drobny upominek z Moskwy...

Z marynarki wyjął niewielkich rozmiarów drewnianą, wymalowaną lalkę „*matrioszkę*”. Podał ją wcale niezdziwionemu Prachałowi. Ten obejrzał ją dokładnie i otworzył niezwykle delikatnie. Wewnątrz znajdowała się jeszcze mniejsza i później kolejna lalka, ledwo mieszcząca się już w palcach. Z trudem dało się ją otworzyć, a w środku, w specjalnie wyżłobionym miejscu ukryta była karta pamięci typu microSD.

— Karta pozwoli na ostateczną weryfikację. Są tam też wytyczne co do dalszych działań oraz dane identyfikacyjne konta, na którym znajdują się środki niezbędne do wykonania zadania. Po odczytaniu proszę zniszczyć kartę i lalki... — wyjaśnił Trusow,

po czym dodał, sugerując rozładowanie lekko napiętej atmosfery: — Możemy już jechać?

— Oczywiście — Prachał zmontował matroszki w jedną całość i odpalił auto przyciśnięciem guzika. — Wybacz, że zaczęliśmy tak oficjalnie, ale musimy być ostrożni. Długo pozostawałem w uśpieniu i szczerze mówiąc zdziwiłem się rozkazami, które otrzymałem. Dostałem bardzo rygorystyczne wytyczne, których musimy się trzymać. Poza tym obywatele rosyjscy są dziś w Polsce pod szczególnym nadzorem różnych służb, stąd moja ostrożność.

— To całkowicie zrozumiałe.

— Zarezerwowałem ci pokój w hotelu. Zawiozę cię tam i muszę jeszcze wracać do pracy. Nie mogę zwracać na siebie uwagi. Muszę robić swoje. Na lotnisku wszystko w porządku?

— Całkowicie.

— Sprawdziłeś, czy ktoś cię nie śledził? Różne służby się teraz uaktywniły. Możesz mieć ogon przez kilka dni.

— Spokojnie. Nie wytwarzajmy znowu zbyt nerwowej atmosfery.

— Polska ma również swoich agentów w Rosji, którzy mogli mieć na ciebie oko. Przez wasze akcje na Ukrainie sprawdzają teraz wszystkich Rosjan po kilka razy. Radziłbym regularnie zmieniać hotele.

— We wszystkim trzymamy rękę na pulsie, Jakubie Prachało! Nie denerwujcie się. Naprawdę nie ma powodu do obaw — rzucił z charakterystycznym wschodnim akcentem w głosie, który wcześniej skrętnie ukrywał.

Do tego przeciągnął dłonią po ogolonym podbródku, dokładnie przeglądając się w lusterku.

— Nie wiem jak ty, ale ja ryzykuję bardzo dużo.

— Nie za darmo.

— Pieniądze to nie wszystko... Jest coś cenniejszego... Życie.

— Jedźmy... — uciął Trusow, nie ukrywając na twarzy znudzenia.

Ruszyli w drogę.

— Jakie mamy plany? — odezwał się po chwili kierowca, jakby denerwując się milczeniem towarzysza.

— Muszę się najpierw zorientować w sytuacji — wskazał na gazety zakupione na lotnisku. — Będziesz mi w tym pomagać.

— Po to jestem.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Na początek umów nas z szefami *PetroGasu*. Trzeba zacząć od uporządkowania tego bałaganu.

— Myślisz, że będą chcieli w ogóle z nami rozmawiać?

— Powiedz tylko, że przysyłają nas kuzyni Iwanow. Wtedy na pewno będą chcieli z nami rozmawiać.

— Potrzebujesz jakiejś miotły? — zapytał tajemniczo Prachał.

— Miotły? — zdziwił się Trusow.

— Narzędzie... do sprzątnięcia — wyjaśniał nadal zagadkowo adwokat, a Trusow, kiedy w końcu zrozumiał, o co tamtemu chodzi, uśmiechnął się szeroko, odsłaniając śnieżnobiałe zęby.

— Póki co, nie. Są na to inne sposoby.

II.

W zamku drzwi głośno zachrobotał klucz. Potem jeszcze drugi i trzeci. Z przenikliwym, metalicznym piskiem odryglowano masywne wrota, a do ciemnego pomieszczenia wprost z korytarza wpadła smuga rażącego światła, rozświetlając mrok.

— Wstawać! Widzenie! — gburowato mruknął postawny mężczyzna w granatowym mundurze.

Na wąskim i zapewne niezwykle niewygodnym łóżku poruszył się obudzony mężczyzna. Usiadł dość szybko i przecierając zaspiane oczy, spojrzął na zegarek.

— To nie pora odwiedzin! — rzucił oschle i złośliwie wyciągnął się z powrotem na łóżku.

Strażnik zniecierpliwiony, lecz opanowany wszedł do środka i nacisnął włącznik światła. Jasność, z początku wślizgująca się niewinnie do pokoju, w jednej sekundzie ogarnęła całe pomieszczenie. Podłoga pokoju w kształcie prostokąta wyłożona była drobnymi dwukolorowymi płytkami, a ściany do połowy wysokości wymalowane farbą olejną, łuszczącą się płatami, odsłaniając pod spodem poprzednie warstwy farby. Jedno prostokątne okno zabezpieczone od zewnątrz kratami usadowione było nietypowo wysoko i prócz krat zasłonięte było ciemnym materiałem, pełniącym rolę zasłony umocowanej na zardzewiałym karniszu. Pomieszczenie wypełniały dwa piętrowe, metalowe łóżka ulokowane przy najdłuższych ścianach prostokąta, dając jedynie bardzo wąskie przejście pomiędzy nimi. Przy krótkiej ścianie pod oknem znajdował się stolik z czterema krzesłami i niewielka szafka. Wszystko wysłużone było

do granic możliwości, z oznakami wielokrotnego naprawiania, a dla ukrycia swojego wieku zamalowywane niejedną warstwą olejnej farby.

— Jeśli mówię widzenie, to widzenie! — niewzruszenie rzucił strażnik — Osadzony wstaje i wychodzimy... Chyba że zamierza utrudniać. Poradzimy sobie wtedy i z takim. A później towarzyszy dostanie, żeby go motywowali do szybkiego wstawania.

Mężczyzna na łóżku poruszył się, powodując charakterystyczny odgłos ugniatanych sprężyn. Ociągając się, wstał wreszcie i spojrzał podejrzliwie na strażnika.

— Kto?

— Oficjel jakiś... No ruchy, ruchy... Całego ranka nie zamierzam tu spędzić!

Posłusznie już wrzucił na siebie zmiętą bluzę, spodnie dresowe, po czym wystawił ręce do przypięcia kajdanek. Strażnik zacisnął je na jego nadgarstkach z metalicznym zgrzytem, który przyprawiał go o gęsią skórę. Sam bowiem wielokrotnie robił to złapanym przez siebie przestępcom. Dziś znalazł się pośród nich. Wyglądał jak oni. Czekając na wyrok, praktycznie już był jednym z nich.

Wyszli z celi i ruszyli szerokim korytarzem z rozlokowanymi naprzeciwko siebie drzwiami, uzbrojonymi w potężne zamki. Wokół panował półmrok, który rozrzedzały przyciemnione lampy umieszczone gdzieś na wysokim suficie, zabezpieczonym metalową siatką. Tu, podobnie jak w celi, ściany ozdabiała lamperia, jednak była w o wiele lepszej kondycji. Szedł, kuśtykając przed strażnikiem, który sapał zniecierpliwiony. To efekt wypadku, jakiemu uległ ponad miesiąc temu. Dzięki temu nie musiał ubierać kajdanek na kostki, które krępowały więźniom ruchy. Wciąż odczuwał kłujący ból złamanej nogi i nie był w stanie nawet truchtać. Poza tym, jak uważał więzienny lekarz, i tak wylizywał się z tego w bardzo szybkim tempie. Widać miał silny organizm.

Doszli do metalowych krat, rozdzielających korytarz. Strażnik wyjął pęk kluczy i z hałasem je otworzył, brzęcząc nimi przeraźliwie przy przekręcaniu w zamku. Zaskrzypiały po otwarciu. Gdy przeszli, zamknął je z trzaskiem za sobą. Wszystkie odgłosy rozchodziły się po szerokim korytarzu, znacznie spotęgowane wysokością pomieszczenia. Przeszli kolejny odcinek korytarza do kolejnej metalowej zapory. Tu strażnik wykonał dokładnie te same czynności co przy poprzedniej, a nawet miało się wrażenie, że trochę głośniej. Drażniło to więźnia, jednak spokojnie dreptał w kierunku pokoju widzeń, gdzie rozmawiał już nie raz ze swoim adwokatem. Korytarz rozdzielał się tu w dwa kierunki. Jedna jego odnoga odchodziła w lewo, a druga ciągnęła się dalej

prosto. Więzień skręcił automatycznie w lewo, kierując się na widzenie, jednak zdziwił się, gdy strażnik pchnął go lekko do przodu. Stał jak wryty i spojrzał dzikim wzrokiem na mężczyznę w mundurze.

— Widzenie tym razem w biurze naczelnika.

— Z naczelnikiem? — zdziwił się więzień.

— Przecież mówiłem, że z jakimś oficjelem. Po co naczelnik miałby z wami gadać? I to jeszcze o tej porze. Ruszać się! — szturchnął go.

Ten drgnął dość niepewnie i podejrzliwie. Nie miał jednak wyjścia, cokolwiek go tam czekało. Przeszli jeszcze przez kolejną kratę i trafili do biurowej części budynku. Od pozostałej odróżniały ją tylko skromniejsze drzwi, bez tych wszystkich potrójnych masywnych zamków. Oprócz numerów miały jeszcze tabliczki z nazwiskami. Poza tym wszędzie ta sama charakterystyczna lamperia i wszechobecne kraty.

— Stać! — burknął nagle strażnik — Czekajcie!

Nie zważając na reakcję więźnia, przytrzymał go za ramię sztywno i otworzył drzwi, wsadzając tam swoją głowę i mówiąc do środka:

— Więzień doprowadzony na widzenie!

— Wprowadzić! — padła szorstka odpowiedź ze środka.

Strażnik otworzył drzwi szerzej i teraz praktycznie siłą wepchnął do środka doprowadzonego. Biuro było małe, mocno oświetlone jasnym światłem jarzeniowym. Na środku stało biurko z zalegającym nań stertą segregatorów. Przy ścianie ustawiono szklaną witrynę z grubymi księgami i kolejnymi sztaplami dokumentów. Okno usadowione za biurkiem ozdobione było przybrudzoną firaną. Niby błaha rzecz, której o dziwo w celi mu brakowało. Drugi strażnik stojący w biurze skinął na drzwi znajdujące się po prawej stronie od głównego wejścia i rzucił rozkazującym tonem:

— Do środka!

Więzień nie miał zbyt wiele czasu na zastanowienie się nad sytuacją, bowiem wykazując bierność, podobnie jak do pierwszego pomieszczenia, został wepchnięty przez strażnika siłą. Nie zdążył nawet dokładnie rozejrzeć się, gdyż wzrokiem od razu przechwyił go młody mężczyzna siedzący wygodnie w fotelu:

— Witam pana. Długo każe pan na siebie czekać... — wstał i otwarcie podszedł do niego, wyciągając rękę na przywitanie. Ubrany był w idealnie skrojony, czarny garnitur, a do jego wizerunku ciężko byłoby się przyczepić najwybredniejszemu wizażystce — Proszę usiąść! — wskazał na jeden z foteli, przy których siedział.

— Czemu zawdzięczam to spotkanie? I dlaczego nie w sali widzeń? — wypalił od razu przybysz.

— Chciałem spokojnie z panem porozmawiać. Z dala od tych wszystkich kamer i podsłuchów.

— Jest pan adwokatem? — więzień przeszył go wzrokiem i czekał na odpowiedź w podejrzliwym milczeniu.

— Rozumiem, że sprawdza pan moją wiarygodność... — uśmiechnął się mężczyzna. — Zatem, nie chcąc się spalić na pierwszym pytaniu, muszę być z panem szczery. Nie, nie jestem adwokatem...

— To dziękuję za rozmowę — więzień ostentacyjnie odwrócił się w kierunku wyjścia.

— To, że nie jestem adwokatem, nie znaczy, że nie mogę panu pomóc, panie komisarzu...

Więzień stanął w bezruchu. W miejscu, w którym obecnie się znajdował, ostatnie wypowiedziane słowo było przedmiotem tabu, a wypowiedziane na głos brzmiało jak wyrok śmierci.

— Pozwoli pan sobie wyjaśnić kilka rzeczy. Nigdzie się pan chyba nie spieszy? — kontynuował mężczyzna w garniturze.

Rozmowa zaczęła przypominać tenis, a piłka była teraz dokładnie po jego stronie.

Komisarz odwrócił się i usiadł na wskazanym fotelu. Mężczyzna rozsiadł się naprzeciwko niego. Założył nogę na nogę, wyjął paczkę papierosów i kontynuował swoją rozgrywkę z dużą dozą pewności w głosie:

— Zapali pan?

— Dziękuję... rzucam.

— Słyszałem, że tutaj to również środek płatniczy. Naprawdę nie przyda się panu? — przesunął paczkę w jego stronę.

— Nie robię tu zakupów! Widać, że jest pan nieźle zorientowany.

— Przepraszam. Nie chciałem być cyniczny.

— Wierzę...

— Zaczniemy od nowa. Nazywam się Piotr Jukowiec i chciałem porozmawiać o pańskiej sytuacji... — nie zdążył dokończyć zdania.

— Drogi panie Jukowiec. Moja sytuacja jest jedynie przedmiotem rozmów adwokatów i prokuratorów. Ci pierwsi, mam nadzieję, chcą mi pomóc, a ci drudzy... cóż, zapewne wręcz odwrotnie. Na moje pytanie, czy jest pan pierwszym z nich,

odpowiedział pan przecząco. Skąd zatem pewność, że chcę rozmawiać z panem o mojej sytuacji?

— Ponieważ jestem jedyną osobą, która może pana wyciągnąć z tego bagna. I powtórzę... Nie jestem adwokatem i, według pana logiki, prokuratorem też nie. Wystarczy, że poświęci mi pan kilka minut i potraktuje poważnie...

Komisarz popatrzył na niego przejmującym wzrokiem, jakim zazwyczaj obdarzał podejrzanych.

— Dobrze. Słucham pana.

— Jak się pan tutaj trzyma? Byli policjanci nie mają dobrze w więzieniu.

— Jestem w areszcie śledczym, nie w więzieniu. To osobny oddział zakładu karnego. Poza tym siedzę tu dopiero od tygodnia, odkąd sąd zastosował wobec mnie areszt tymczasowy. Jak dotychczas niewielu aresztowanych udało mi się jeszcze spotkać, ale wiem, że to tylko kwestia czasu.

— Znam pana sytuację. Pozwoliłem sobie przejrzeć pana sprawę. Szczerze mówiąc, nie wygląda to dobrze. Dlatego pierwsze moje pytanie... Czy jest pan winny stawianym zarzutom?

— To jakaś tania podpucha z prokuratury? — zirytował się policjant — Spotyka się pan ze mną w warunkach znacząco odbiegających od tych określonych procedurami. Później zapycha mi pan głowę pierdołami, że tylko on może mi pomóc. A teraz mam się przyznać do winy albo zaprzeczyć? Nagrywa mnie pan, czy co? Próbuje wycisnąć ze mnie przyznanie się do winy? Mój mierny adwokat mi to poleca. Od niego pan jest? Co to za szopka?

— Spokojnie, panie Kamilu. Tylko spokojnie. Naprawdę jestem tu, by panu pomóc. Po prostu chcę to od pana usłyszeć. I broń Boże nie nagrywam naszej rozmowy. Nie mam posłuchu. Mogę zdjąć marynarkę i koszulę, jeśli to pana przekona. Chcę po prostu usłyszeć z pańskich ust pana stanowisko i do tego będę się odnosił. Jest pan głównym podejrzanym w sprawie dotyczącej zabicia inspektora Michalskiego z Wydziału Wewnętrznego i zatuszowanie tego morderstwa spowodowaniem pożaru na miejscu przestępstwa. Powiązany jest pan również ze śmiercią zakonnika z klasztoru na Świętym Krzyżu. Niejasne jest również pana zachowanie w stosunku do kilku zaginionych osób. Kręcił się pan z jakimś niezidentyfikowanym dotychczas mężczyzną po prosektoriach. Nie chce pan powiedzieć, kim on był i zdradzić jego tożsamości, choć być może jest to jedyny świadek, który może zeznawać w pana

obronie. Jak widać, wiele jest niejasności, a zarzuty ciężące na panu są bardzo poważne.

— Nie ma choćby jednego dowodu w sprawie obciążającego moją osobę... — wyrecytował komisarz Kamil Kozerski.

— Nad pana sprawą pracują najlepsi śledczy ze stolicy. Pana samochód był widziany w miejscu przestępstwa i pożaru. Zostały tam również pańskie ślady. Przecież inspektor Michalski i nadkomisarz Nosal jechali za panem w ramach wewnętrznego śledztwa!

Na dźwięk nazwiska pani nadkomisarz, Kozerskiemu zrobiło się potwornie gorąco.

— Śledziłem podejrzanego, a Wydział Kontroli Wewnętrznej prowadził wobec mnie bezpodstawne śledztwo. Na własną odpowiedzialność pojechali za mną i, jak dowiedział się mój adwokat, to śledztwo nie było do końca legalne. Nie wiem, co się stało z Michalskim... Ja mu nic nie zrobiłem.

— Zaginął policjant. Tego nie da się zamieść pod dywan...

— Skoro to zaginięcie, czemu jestem traktowany jak morderca? Zapytajcie tej policjantki, jak było! — jej nazwisko wciąż nie przechodziło mu przez gardło.

— Zdaje się, że jako główny podejrzany jest pan postawiony właśnie w wyniku zeznań nadkomisarz Nosal.

Kozerski znowu wzdrygnął się na wspomnienie dobrze znanej osoby. Nie odpowiedział. W milczeniu przypominał sobie kobietę, która zdradziła go w najbardziej perfidny z możliwych sposobów. Wbiła mu nóż w serce, które wciąż krwawiło.

— Zeznania są jednak... słabe — kontynuował Jukowiec. — Do obalenia. Tym bardziej że sama Nosal próbowała je wielokrotnie wycofać.

Komisarz spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

— Nie wiedział pan? Adwokat panu nic nie powiedział? Pani Nosal nie pracuje już w policji. Odeszła. Chciała wycofać zeznania, ale widać naraził się pan komuś ważnemu, bowiem sprawa, jak pan wspomniał bez wyraźnych, jednoznacznych dowodów obciążających, nadal jest w pełnym toku. Co gorsza, nie zwalnia tempa, tylko przyspiesza. Pan natomiast siedzi spokojnie w areszcie — ponownie zapanowała chwilowa cisza. — Problemem może być tylko pana niewytłumaczalne zachowanie w prosektoriach czy w klasztorze pod Wezwaniem Świętego Krzyża.

— To znaczy?

— Słyszałem, że swego czasu w swoich zeznaniach próbował naświetlać pan swoje ówczesne zachowanie. Było to jednak tłumaczenie... dość fantazyjne...

— Ma pan na myśli podejrzenia o symulowanie niepoczytalności?

— Dokładnie...

— Cóż mam panu odpowiedzieć? Zapewne pan już wszystko wie.